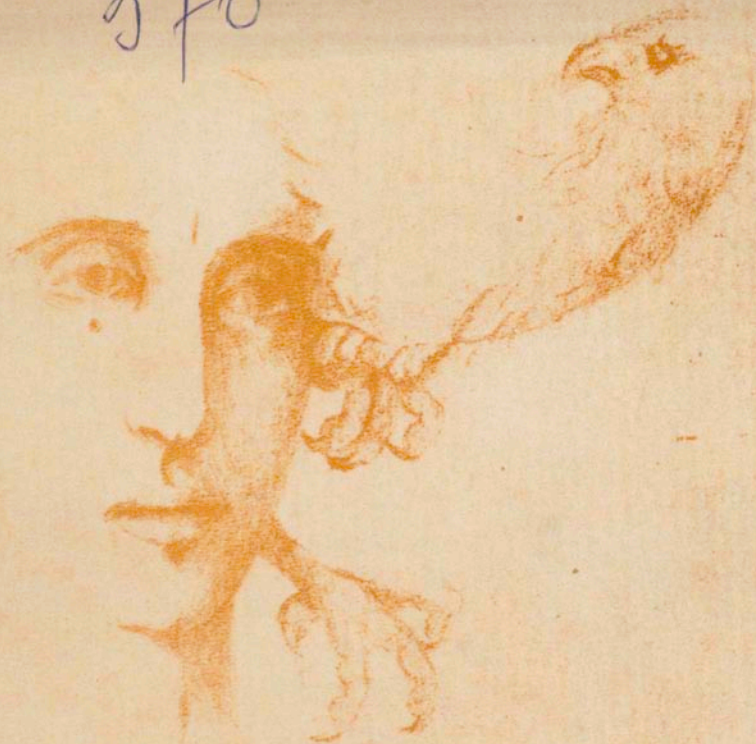
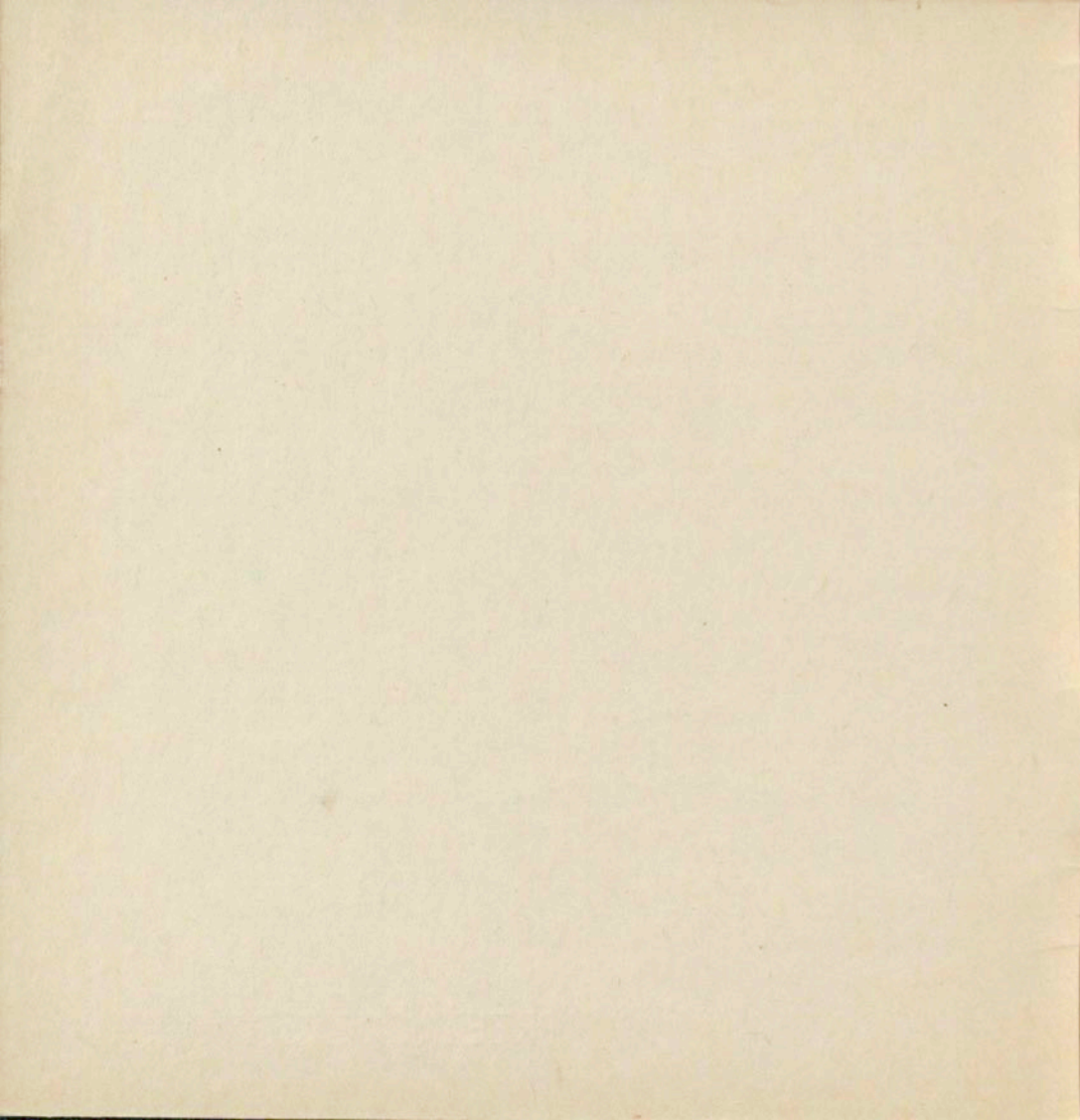


370



PRZEŹROCZYSTY POKÓJ

2



PRZEŻROCZYSTY
POKÓJ

Spektakl autorski
KRYSTIANA LUPY



Z egzemplarza

„Przeźroczystego pokoju”

(Ewie ześlizguje się łokieć, przykuta wzrokiem bohatera, zamiera w nienaturalnej pozie, po chwili chce zmienić pozę)

ON — Nie!

EWA — Dlaczego?

ON — Nie! Błagam cię zostań tak. Wyżej! Tak! Proszę cię, to jest krok dalej. Musisz również zrobić ten krok. Tak... to prowadzi jeszcze dalej, z pewnością. Teraz powstał układ podwójnie sprzężony. Sztuczność tego gestu wznaga dziwność chwili obecnej, jako następstwa chwili poprzedniej, w której ten gest powstał. A dziwność w jaką wchodzę, pogłębia moje widzenie tego gestu... i tak dalej. To może nas zaprowadzić w rejony niespodziewane. Nie zmieniaj... trzymaj tak jeszcze chwilę. Muszę wejść w zagadkę tego stanu. Dlaczego ten gest jest dziwny? Dlaczego jest sztuczny? Czy odczuwasz tę sztuczność, tę nienaturalność pozy! Co cię

wprawiło w tę nienaturalność. — Co? — Jak myślisz? Oczywiście, to nagle ześlizgnięcie się łokcia! Sztuczność powstała, kiedy usiłowałeś ratować, ten nagły sromotny upadek swojego przedramienia, aby zbyt wiele nie zdradził. Nie zdradził jak bardzo weszłaś wraz ze mną w stan niezwykłości. Bo to chciałeś przede mną ukryć! Aby się zanadto przede mną nie obnażyć. Prawda? Aby się zbyt ode mnie nie uzależnić. Prawda? Skoro masz aspiracje do pielęgniarstwa, to jest dla nas oczywiste. Ale cóż dalej? Widzę, że chcesz powiedzieć. Drżą ci wargi. Mów!... Nie, nie, nie. Nic nie mów, nie zmieniaj pozycji. Proszę cię, żebyś nie zmieniała pozycji!... Słyszysz! Uderzę cię, jeśli to zrobisz. Więc tak, sztuczność jest właściwie w palcach... nigdy byś tak nie trzymała palca wskazującego, gdybyś panowała nad swym stanem. Tak, drugi palec nieco uniesiony, kciuk kurczowo zmierza do zaciśnięcia się w pięść. Ale tego nie możesz zrobić. Jednak przyczyna tego gestu jest w przechyleniu tułowia. W napięciu, jakim musisz mięśniami pleców równoważyć to zachwianie równowagi. W tym wychyleniu się od pionu... jest twoja histeria, twój trans, cała twoja wściekłość i twoja niższość w tej chwili, jeszcze chwilę i wejdę w ciebie przez ten gest. Ten gest jest momentem tamtej chwili, która się teraz kontynuuje... wypiera następstwo chwili. Jest chwilą skamieniałą. Kryształem chwili. Cokolwiek byś teraz zrobiła, jakkolwiek

chciałabyś zniekształcić ten gest... krążysz uparcie i bezradnie wobec tego cō kamienieje w tym geście. Mogę utożsamić się z tym gestem, pozostać przy chwili jego powstania. Wejść w tajemnicę czasu. Rozumiesz? Na podobieństwo śmierci. Nię jesteśmy w stanie do końca zgłębić dziwności chwili, kiedy czas ukazuje szczelinę, pęknięcie, za które można wejść... bo chwila następna usuwa nieublaganie to pęknięcie, za które można wejść... bo chwila następna usuwa nieublaganie to pęknięcie, tę szczelinę w przeszłość. Dopóki istniejemy, skazani jesteśmy na to, że czas przez nas przepływa. Kiedy umieram... może wtedy, kiedy nie ma już następnej chwili, nasza świadomość uczepia się chwili ostatniej i ulatuje wraz z nią. To jest jak sztuczna śmierć. Jak model śmierci. Ten gest! Fetysz, do którego zostaje przywiązana chwila, zatrzymuje ją! Na skutek stanu w jakim się znajdujemy. Trzymaj rękę... Fetysz staje się tak potężnym, że wstrzymuje bieg czasu. Jestem uczepiony momentu. Ty również. W tym uniesieniu śmiertelnym przez chwilę możemy wejść w siebie, złączyć się... to jest możliwość... przeczuwam możliwość tego gestu, który winien trwać, dopóki możliwość nie zostanie spełniona.

Ucieka... Czuję, że wymyka mi się. Muszę dojść do słabego miejsca tego gestu — do szczeliny. Niel... Wyżej, dlaczego opuszczasz rękę... zwalniasz napięcie płeców. Za chwilę nic

nie zostanie z tego, co czuję. Wracasz do tamtej siebie, którą znam... której nie znam zupełnie. Na czym to polegało? Wszystko było... Jest jeszcze niespodziewane... obce... w tym układzie. Sztuczność spowodowała to, że cię zobaczyłem, że stało się ważne poznawalne naprawdę... Czy ty rozumiesz o czym mówię?... Twoje istnienie. Stałaś się aktorem. AKTOREM TEATRU TRWANIA. Ten gest oświetlony, na scenie, sztuczny, trwający gest unaocznia twoje istnienie. Istnienie człowieka. Fenomen poznawalny tego, że istniejesz. Aktor teatru trwania zatrzymuje chwilę. I zbliża poznanie istnienia i poznanie śmierci. Zatrzymana chwila dotyka śmiercią istnienie aktora i dlatego przybliża poznaniu jego tajemnicę. Bo tajemnica jest na wąskiej granicy istnienia i śmierci, którą przekraczamy zazwyczaj nieświadomie i tragicznie jednorazowo. AKTOR TEATRU TRWANIA kołysze się na tej granicy — przekracza ją wielokrotnie w tę i tamtą stronę.

(rozlegają się dźwięki motywu śmierci,
a wraz z nimi zamazany głos o wyraźniej
pytającej intonacji)

ON — Powtórz!... o co pytałaś?

EWA — Nic nie mówiłam.

ON — Jak to nie. Mówiłaś, to ty mnie przed chwilą o coś zapytałaś.

EWA — Nie!

ON — To było to. Nie ruszaj się!

EWA — Co było.

(powtarza to raczej mechanicznie)

ON — Nie, nie ruszaj ręką! Czy znasz wstęgę Mabiusa?

(robi gest określający kształt wstęgi Mabiusa)

Magiczna wstęga, która posiada tylko jedną powierzchnię, a nie dwie jak każda inna. Popatrz! Widzisz? Każda forma płaska posiada dwie powierzchnie — DWIE PRZECIWSZTAWNE POWIERZCHNIE! Plus i minus! Światło i mrok! ŻYCIE I ŚMIERĆ! A tu jedna powierzchnia jest tożsama ze swoją przeciwnością. Czy możesz sobie wyobrazić coś może znaczyć taki model? TO JEST CZYMŚ W TYM RODZAJU. Tylko nie mogę objąć prawdy tej sytuacji. Jeszcze nie. Jestem jak mrówka na powierzchni wstęgi Mabiusa. Teraz jestem chyba po przeciwnej stronie... tu, widzisz, jest miasto, które doskonale znam. Ściemnia się. Idę ulicą w DOBRZE znanym kierunku. Za chwilę skręcę w prawo, w przecznicy. Ale czy nie za długo już tak idę? Przeczniczy nie widać.

W mojej pamięci ta droga była znacznie krótsza. Dziś wydłuża się. W końcu widzę wyraźnie, że w NIEZROZUMIAŁY dla siebie sposób ZABŁĄDZIŁEM. Jestem w nieznannej dzielnicy, w nieznanym krajobrazie. Idę jednak. Z rozpędu. Do przodu. Przecież jest we mnie logiczne przeświadczenie, że ta przecznica być MUSI... Przecież nie minąłem jej na pewno... przecież szedłem z pewnością prawidłowo. Wchodzę na mały, ciemny placyk i nagle jakbym dostał kijem między oczy. Tak, oczywiście ZNAM go doskonale, TYLKO W CAŁKIEM INNYM MIEŚCIE. Gdzie jestem? Co się stało? Jeśli to prawda, to zaraz za placykiem musi być park... biegnę — nie ma, biegnę dalej — wracam, ale w zdenerwowaniu widać pomyliłem kierunki — placyku, na którym stałem przed chwilą — nie mogłem znaleźć... ale do czego to prowadzi. Byłem tu i po przeciwnej stronie. Może! Co? A więc to może być osiągalne... Wyjść z ciasnego więzienia bycia w sobie, które nie pozwala nam poznać tego, co na zewnątrz. Trzeba być i w sobie i na zewnątrz... W TOBIE.

(w trakcie tego fantastycznego wywodu bohater zaczyna wyraźnie tracić siłę transu, tym wścieklejsze są jego ataki. Ewa parokrotnie opuszcza rękę, jednak gest jakby wróci w nią, powraca machinalnie)

JA przekracza swoje granice WYZWALA SIĘ... wystarcza w akceptacji dwóch jaźni zdominowanych przez jedną. Mogę pierwszy kąsek rzeczywistości, który przestanie być NA ZEWNĄTRZ, a świat zostanie pokonany przez moją świadomość. JEST... jest tutaj... w twoich plecach, w tym co jest, teraz między nami... co trwa teraz, między nami, trwa i potężnieje... i na skutek sprzężenia może potęgnić w NIESKONCZONOSC. Jest pomost między mną i tobą, dziś po raz pierwszy naprawdę. Musisz docenić wagę tej chwili...! Wszystko, co było przedtem jest bez znaczenia. Zupełnie bez znaczenia, nie ma po co wracać... w nieistotność, w kłamstwo tych kontaktów, tych stosunków, które są bezmyślnym, bezładnym, chaotycznym obijaniem się ludzi o siebie, bez żadnego najmniejszego nawet rezultatu. Jak kamienie w rzece. Tam nie można już wrócić, nie można, tam jest bezsens i beznadziejność. Musisz zrozumieć, że wszystko to, co było jest teraz pozbawione sensu. Związanie dwóch jaźni wspólnotą wytrącenia z więzów czasu i przestrzeni. SZCZELINA, którą można wyjść na zewnątrz. Przejść w drugą jaźń. Przeniknąć. Dwie jaźnie połączone w jedność! Idziemy dalej! Przenikam tajemnicę istnienia przez tajemnicę śmierci... Bo teraz moja świadomość nie ginie wraz z ciałem. Świadomość ogarniająca dwa ciała notuje moment śmierci.

Mogę zabić jedno z moich dwóch ciał — i oto przekraczam wszelkie ludzkie bariery.

(mówi to starając się jednocześnie zobiektywizować to marzenie w szaleńczym hipnotycznym kontakcie z Ewą)

Jażn zadaje śmierć sobie samej. Dokonuje ostatecznej próby na ciele, którego ból i umieranie CZUJE... czuje zapadanie się w nicość... POŁOWY, jednej połowy... ale wystarczy wpaść się, wsłuchać się, wczuć się w to zapadanie. Zawisnąć całym nateżonym CZUWANIEM nad tą STRASZLIWĄ TAJEMNICZĄ CHWILĄ i ulecieć z nią, a właściwie z nią zostać! Wtedy jestem w dwóch czasach oddalających się od siebie z szybkością światła. Tak — przewyciężam czas. Dlaczego nie idziesz za mną...

Kim jest bohater?

Człowiekiem oszukanym przez życie i przez własny intelekt. Poczucie niespełnienia sublimuje się w fantastyczne idee WYŻSZEGO POZNANIA. Są one usprawiedliwieniem życiowej klęski i osamotnienia.

TEATR IM. CYPRIANA NORWIDA
W JELENIEJ GÓRZE

ODZNACZONY KRZYŻEM KOMANDORSKIM
Z GWIAZDĄ ORDERU ODRODZENIA POLSKI

Dyrektor — Alina OBIDNIAK
Z-ca dyrektora — Henryk SZOKA
Kierownik literacki — Janusz DEGLER

PRZEŹROCZYSTY POKÓJ

Scenariusz — KRYSTIAN LUPA
oraz kreacja zbiorowa ZESPOŁU AKTORSKIEGO
Reżyseria i scenografia — KRYSTIAN LUPA

W spektaklu wykorzystano teksty T. MANNA, St. I. WIT-
KIEWICZA fragmenty BIBLI I muzykę J. S. BACHA,
J. BRAHMSA, F. SCHUBERTA oraz taniec renesansowy
nieznanego kompozytora

PREMIERA, LUTY 1979, XXXIV SEZON 1978/79
(trzecia premiera sezonu 1978/79)

O B S A D A :

Ewa	Maria MAJ
Olimpia	Ewa JAGIEŁŁO
On	Piotr SKIBA
Morderca	Andrzej KEMPA
Sobotwór	Marek URBAŃSKI
Uczestnicy seansu	Stanisław BICZYSKO
	Zbigniew BRYCZKOWSKI
	Zbigniew CIEŚLAR
	Edward KALISZ
	Sławomir SULEJ
	oraz
	Stanisław CICHOCKI

Asystent reżysera
Andrzej KEMPA
Konsultant słowa
Mieczysław WALCZAK

Spektakl z przerwą

Prowadzenie spektaklu i kontrola tekstu:

Stanisław CICHOCKI

Kierownik techniczny
Heliodor JANKOWSKI

Kierownik sceny
Mieczysław KULCZYK

Brygadier sceny
Paweł BALDY

Rekwizyto
Stanisław NOWOSIELSKI

Światło
Jerzy OFMAŃSKI

Akustyk
Leszek STRZELEC

Kierownicy pracowni

krawieckiej
Janina SMERECZYŃSKA
perukarskiej

Józefa GRABOWSKA
malarskiej

Henryk OLESZKIEWICZ
tapicerskiej

Grzegorz RACKIEWICZ
elektrotechnicznej

Walerian STOLARCZYK
akustycznej

Andrzej SOBOLEWSKI

Oto znaleźli się na pograniczu młodzieńczego idealizmu i rezygnacji wieku dojrzałego. Marzenie nie wykształciło się jeszcze w żaden konkretny cel, tym bardziej więc eksperymentalną formę przyjmuje. Jest marzeniem absolutnego poznania, pogardą dla dotychczasowych celów, dotychczasowych metod dochodzenia do Prawdy, dotychczasowego natężenia kontaktu z drugim człowiekiem. Snuje na tle różnych koncepcji filozoficznych i fantastycznych utopijne idee dojścia do SPEŁNIENIA I PRAWDY.

Oczywiście w RZECZYWISTOŚCI nie można dojść do żadnej ABSOLUTNEJ REALIZACJI, choćby dlatego, że RZECZYWISTOŚĆ JEST „NIEPRZEJRZYSTA”, że stawia opór. Ze drugi człowiek broni swej niedotykalności — a jeśli nawet akceptuje pansubiektywne zapędy partnera — to opór stanowi nieprzenikalna substancja JAŻNI, z którą kontakt głębszy, niż ten obiegowy — poprzez wymianę informacji, emocji i dotyków — jest niemal niemożliwy. Tutaj jednak marzenie tworzy misterne konstrukcje samookłamywania. Z drugiej strony — życiowa frustracja, poczucie niespełnienia i nienasycenia powodują agresywne, destrukcyjne nastawienie do rzeczywistości i ono nasycą sobą owe idealne marzenia. Zaczynamy wykonywać w życiu gesty nieskuteczne i nie prowadzące do nikąd. Dokonujemy namiastki aktów, które stwarzają namiastki spełnienia. Dążąc jakoby do po-

znania tajemnicy drugiego człowieka zadawaliśmy się próbami zdominowania go, ZRANIENIA, UKŁUCIA. Manipulacje z partnerem przypominają dziecinne potrząsanie pajacykiem — agresywne i bezradne — w namiętym pragnieniu ujrzenia jego wewnętrznego mechanizmu, kończące się zerwaniem zabawki i ŻADNYM POZNANIEM. Jest w tym jakaś IRYTACJA, ROZPACZLIWA BEZRADNOŚĆ — wyprowadza się coś z drugim, rani, zadaje ból i zamiast satysfakcji — jeszcze większe rozjątrzenie. Czy przyznać się do tego przed samym sobą, czy ZREZYGNOWAĆ? Czy też kontynuować marzenia i fikcje, konstruować teorie i wymyślać metody, które w kontakcie z nieprzenikalną rzeczywistością mogą się pozornie sprawdzić jedynie przez FANTASTYCZNĄ AUTOSUGESTIĘ? Hermetyczne teorie, szukanie wyjątkowych stanów ducha, w czasie trwania których nasz obraz świata jest ZDEFORMOWANY, daje nam złudne poczucie przybliżenia się do TAJEMNICY.

Wierni do szaleństwa FIKCJI, nazywamy te stany OBJAWIENIEM. Tymczasem w chorobie tej oddalamy się od życia i coraz trudniej jest nam się w nim odnaleźć. WINĄ ZA TO OBARCZAMY ŻYCIE.

Nasza ucieczka od życia w fikcję i samotność jest zemstą na ŚWIECIE, który nas oszukał; na sobie samych, BOWIEM SIEBIE SAMYCH OSZUKALIŚMY. Fikcja sprzęga się z na-

szą życiową bezradnością. Kąsamy — stwarzamy teoretyczne usprawiedliwienia tych ukąszeń.

Nie ze ŚWIATEM jest możliwa nasza wymarzona PRZYGODA! W każdym razie nie z tym PRAWDZIWYM.

Musimy zostać z samym sobą i z OBRAZEM ŚWIATA w nas, z SOBOWTÓREM ŚWIATA wykreowanym w naszej wyobraźni. On łatwiej, choć wcale nie łatwo poddaje się naszym penetracjom.

Dokonyjemy złudnego poznania — jakby poznania jakiegoś człowieka — jego zamiarów, jego prawdziwej natury — WESNIE, kiedy przedstawia się nam w swoich ZASKAKUJĄCYCH NAS, a przecież Z NAS SAMYCH wyłonionych czynach.

ON — sobowtór świata — pozwala kontynuować poznanie, rozwijać metody drażenia tajemnicy. Ale to z NAS SAMYCH WYNIKAJĄ POSZCZEGÓLNE PIĘTRA! Powrót do świata prawdziwego jest już niemożliwy. Tu — w sobowtórze świata — wszystko lepiej się sprawdza, ale my sami padamy ofiarą tej konstrukcji.

Pozorne poznanie SEDNA, utkane z płatków fikcji, z logiki cieniów i widm, prowadzi do FIKCYJNEJ ŚMIERCI.

Lecz czyż nie staje się ona ŚMIERCią PRAWDZIWĄ?

Krystian Lupa



Herman Hesse
„DEMIAN” — fragment

...w małym moim pokoiku, ustawiłem wokół siebie kilka moich obrazków i z przejęciem oddawać się zacząłem własnym marzeniom. Powrócił wtedy natychmiast mój sen o braniu domu i herbie, matce i obcej kobiecie, a rysy owej kobiety widziałem z taką wyrazistością, że jeszcze tego samego wieczoru jąłem malować jej portret.

Gdy obraz ów był już po paru dniach gotów, kreślony jak gdyby nieświadomie w chwilach marzeń, zawiesiłem go wieczorem u siebie na ścianie, przysunąłem ku niemu lampę i stanąłem przed nim jak przed widziadłem, z którym stoczyć miałem decydującą walkę. Była to twarz podobna do tej, jaką malowałem wcześniej, podobna do przyjaciela mojego, Demiana, pod pewnymi względami podobna także i do mnie. Jedno oko umieszczone było wyraźnie wyżej od drugiego, nieruchome oczy, pełne zadumy, patrzyły ponad moją głową: — oczy losu.

Stałem przed tym obrazem i z wewnętrznego napięcia chłód przenikał mnie aż po samo serce. Zadawałem temu obrazowi pytania, oskarżałem go, pieściłem, modliłem się do niego; nazywałem go matką, nazywałem kochanką, kurwą i dziewczką, nazywałam go Abraxasem. A w tym wszystkim przypominały mi się słowa Pistoriusa — czy może Demiana? — nie mogłem uzmysłowić sobie, kiedy wypowiedziane, lecz zdawało mi się, że słyszę je znowu. Były to słowa o walce Jakuba z aniołem bożym, te właśnie słowa: „Nie puszczę cię, aż mnie pobłogosławisz”.

Namalowana twarz zmieniała się w świetle lampy za każdym wezwaniem. Stawała się jasna i świetlista, stawała się czarna i mroczna, przysłaniała zamarte oczy bladymi powiekami, otwierała je znowu, błyskając płomiennym spojrzeniem, stawała się kobietą, mężczyzną, dziewczyną, małym dzieckiem, zwierzęciem, rozpływała w bezkształtną plamę i znów była wyrazista i wielka. Na koniec, pod wpływem silnego wewnętrznego impulsu zamknąłem oczy i ujrzałem wówczas ten obraz wewnątrz siebie, bardziej jeszcze mocny i potężny. Chciałem paść przed nim na kolana, lecz tak głęboko tkwił w mnie, że nie potrafiłem go już od siebie oddzielić, jakby przeistoczył się w tysięczne odbicie własnego mojego „ja”.

Posłyszałem wówczas mroczny, gwałtowny poszum, jakby burzy wiosennej, i zadrżałem pod wpływem nieopisanie nowego uczucia lęku, nowych przeżyć. Zawirowały przede mną gwiazdy i zgasły, przepłynęły koło mnie, skoncentrowane niesłychanie, wspomnienia sięgające aż ku najwcześniejszym, od dawna już zapomnianym czasom dzieciństwa, a nawet ku egzystencjom uprzednim i wczesnym stadiom stawania się. Lecz wspomnienia te, które zdawały się powtarzać całe moje życie aż po najgłębsze jego tajniki, nie kończyły się na dniu wczorajszym ani dzisiaj, sięgały dalej, odzwierciedlały przyszłość, odrywały mnie od dnia dzisiejszego i wiodły ku nowym formom życia, których obrazy były niezwykle jasne, olśniewające, lecz których nie mogłem sobie już potem właściwie dobrze przypomnieć.

Pewien sen, czy też może tylko gra wyobraźni, powracający nieustannie, stał się dla mnie niezwykle ważny. Sen ów, później najważniejszy i najbardziej istotny w całym moim życiu, przedstawiał się mniej więcej tak: powracałem do domu rodzicielskiego; nad bramą błyszczał herbowy ptak, żółty na błękitnym tle, w domu wychodziła mi naprzeciw matka, lecz z chwilą, gdy podchodziłem, chcąc ją uściskać — była to już nie ona, lecz jakaś nigdy nie widziana postać, wielka, potężna, podobna do Maksa Demiana i malowanego

przeze mnie obrazka, a przecież inna i mimo całą swą wielkość na wskroś kobieca. Ta postać przyciągała mnie ku sobie i ogarniała przejmującym, wręcz wstrząsającym miłosnym uściskiem. Rozkosz i zgroza były ze sobą zmieszane, uścisk ów był nabożeństwem i zbrodnią jednocześnie. Zbyt wiele wspomnień o mojej matce i zbyt wiele wspomnień o przyjacielu moim, Demianie, utajonych było w owej postaci, ogarniającej mnie uściskiem. I objęcia te były zaprzeczeniem wszelkiego szacunku, a mimo to darzyły mnie szczęściem. Często budziłem się z owego snu z głębokim uczuciem szczęścia, lecz często też w śmiertelnym lęku, z udręczonym sumieniem, jak po straszliwym grzechu.

Dopiero stopniowo i nieświadomie powstało pomiędzy tym na wskroś wewnętrznym obrazem i wskazówką, jaką uzyskałem z zewnątrz, a dotyczącą poszukiwania Boga, pewne połączenie. Stało się ono z czasem głębsze i ściślejse i zacząłem wyczuwać, że właśnie w owym wizjonerskim śnie wzywałem Abraxasą. Rozkosz i zgroza, mężczyzna i kobieta — zmieszani ze sobą, sprawy najświętsze i sprawy najohydniejsze ze sobą splecione, głęboka winą przepojona najsubtelniejszą niewinnością — oto był mój sen miłosny i taki też był Abraxas. Miłość nie była już mrocznym, zwierzęcym popędem, jaki z lękiem odczuwałem początkowo, nie była także już nabożną, uduchowioną adoracją, jaką oddawałem

wizerunkowi Beatrice. Była jednym i drugim, a składało się na nią znacznie więcej jeszcze. Była wizerunkiem anioła i szatana, mężczyzną i kobietą jednocześnie, człowiekiem i zwierzęciem, najwyższym dobrem i najbardziej skrajnym złem. Takie życie wydawało się być mnie przeznaczone, za-kosztowanie tego miało być moim losem. Tęskniłem za nim i czułem przed nim lęk, lecz on istniał zawsze i zawsze trwał nade mną.

WYBÓR TEKSTÓW I RYSUNKI:

KRYSTIAN LUPA

OPRACOWANIE REDAKCYJNE:

URSZULA PROKOP

DZG 1504-2-2738/78 700 2/3 A5 M-21

ADRES TEATRU

58-500 Jelenia Góra

Al. Wojska Polskiego 38

tel. 232-74 i 75

KASA CZYNNA

w godz. 10-13 i 16-19

tel. 223-25

ZGŁOSZENIA NA BILETY ZBIOROWE PRZYJMUJE

ORGANIZACJA WIDOWNI

w godz. 9-14

tel. 246-32

Exemplar 5. z 1
bezplatny